

Trzymając w dłoniach kubek kawy, Will siedział i czekał, aż poszukiwany przezeń osobnik wejdzie do tawerny.

Kiedy Will dotarł do Port Cael, zatrzymał się w gospodzie położonej dość daleko od nabrzeża, w jednej z porządniejszych części miasta. Właściciel nie zaliczał się do ludzi rozmownych, nie przejawiał nawet skłonności do powtarzania miejscowych plotek, jak to zwykle czynili ludzie jego profesji. Will niejednokrotnie już zdążył się przekonać, że w zasadzie każdy z nich to urodzony gaduła. Ten jednak był zdecydowanie nietypowy. Trzeba mieć na uwadze – uświadomił sobie Will – że choć znalazł się w lepszej dzielnicy, praktycznie rzecz biorąc, całe miasto żyje przede wszystkim z przemytu, tudzież innych form nielegalnego handlu. Nic dziwnego, że jego mieszkańcy są małomówni wobec obcych.

Chyba że zjawi się obcy, który płaci złotem – tak jak Will. Powiadomił oberżystę, iż szuka jednego ze swych przyjaciół. Mężczyzny okazałej postury, o długich, siwych włosach. Człowiek ten nosi białą szatę i towarzyszy mu około dwudziestu ludzi. Dwaj z nich okryci są purpurowymi płaszczami, a na głowach mają kapelusze z szerokim rondem, tego samego koloru. Niewykluczone, że uzbrojeni są w kusze.

Dostrzegł błysk w oku oberżysty, gdy w ten sposób opisywał Tennysona oraz dwóch pozostałych przy życiu genoweńskich najemników. Jeszcze nim usłyszał odpowiedź, miał pewność, że jego rozmówca ich widział. Puls Willa przyspieszył na myśl, że może jeszcze wciąż tu są. Lecz słowa oberżysty sprowadziły go na ziemię:

– Byli tu tacy – brzmiała odpowiedź. – Ale już wyjechali.

Najwidoczniej właściciel gospody uznał, że skoro Tennyson opuścił Port Cael, może bezkarnie pozwolić sobie na wyjawienie owego faktu ciekawskiemu młodzieńcowi.

Słyszając to, Will zacisnął usta i zaczął bawić się złotą monetą, która jakby czarodziejskim sposobem przewijała się między palcami jego prawej dłoni. Prosta sztuczka, którą opanował do perfekcji dzięki godzinom ćwiczeń podczas niezliczonych wieczorów przy ognisku. Metal połyskiwał w świetle, kusił, przyciągając oko oberżysty.

– Dokąd się udali?

Oberżysta zerknął na niego, a potem wskazał ruchem głowy w stronę przystani.

– Za morze. Nie wiem dokąd.

– A kto mógłby wiedzieć?

Oberżysta wzruszył ramionami, ale jednak odpowiedział:

– Najlepiej zrobisz, jak spytasz o to Czarnego O'Malleya. Może od niego czegoś się dowiesz. Gdy komuś spieszo opuścić kraj, najczęściej on właśnie służy pomocą.

– Dziwne imię. Skąd się wzięło?

– Kilka lat temu doszło do walki na morzu. Na jego statek wdarli się... – mężczyzna zawahał się przez chwilę, po czym dokończył: – Wdarli się piraci. Podczas utarczki jeden z nich uderzył O'Malleya w twarz zapaloną pochodnią. Płonąca smoła przywarła do skóry i paskudnie go poparzyła, pozostawiając po lewej stronie twarzy czarne znamię.

Will w zamyśleniu pokiwał głową. Gotów byłby się założyć, że jeśli w starciu brali udział jacyś piraci, z pewnością należeli do załogi O'Malleya. Bez wątplenia, ale nie w tym rzecz – pomyślał. W tej chwili chodziło mu o coś całkiem innego:

– A jak mogę znaleźć tego O'Malleya? – spytał.

– Prawie każdego wieczoru zastaniesz go w tawernie Pod Czaplą, tuż przy nabrzeżu. – Oberżysta przyjął monetę, a gdy Will odwrócił się, by odejść, dodał: – To niebezpieczne miejsce. Jesteś tu obcy, więc na twoim miejscu nie szedłbym tam bez towarzystwa. Mam na zawołanie kilku chłopaków, którzy w razie potrzeby służą mi pomocą. Pewnie zgodziliby się pójść z tobą – za niewielką opłatą.

Młodzieniec obejrzał się, rozważył propozycję i potrząsnął głową, uśmiechając się nieznacznie.

– Myślę, że dam sobie radę – powiedział.

Nie przystał na sugestię oberżysty, lecz bynajmniej nie z powodu nadmiernej pewności siebie. Po prostu, gdyby pojawił się w takim miejscu, jak portowa spelunka Pod Czaplą, w towarzystwie paru doraźnie zwerbowanych i zapewne nieszczególnie nadających się do tej roli osiłków – przypuszczalnie tragarzy – zyskałby tylko tyle, że zgromadzeni tam prawdziwi twardziele odnieśliby się do niego ze wzgardą. Od razu dałby im do zrozumienia, że czuje się niepewnie. Lepiej działać w pojedynkę, polegać na swych własnych umiejętnościach i przemyślności.

Kiedy pojawił się, tawerna wypełniona była do połowy. Pora była zapewne zbyt wczesna, prawdziwy ruch dopiero się zaczynał. Jednak w miarę upływu czasu nadchodzili kolejni bywalcy. Wewnątrz panował coraz większy ścisk niedomytych ciał. Gęstniał też kwaśny, duszny odór panujący w zadymionym wnętrzu. Narastał gwar licznych głosów, rozmawiający musieli przekrzykiwać hałas, aby móc się usłyszeć... od czego stawało się jeszcze głośniejsze.

Taka sytuacja sprzyjała jego zamiarom. Im tłoczniej i głośniejsze, tym mniejsze ryzyko, że ktoś zwróci na niego uwagę. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi i do środka wkraczali nowi goście, spoglądał w stronę oberżysty. Ten jednak za każdym razem tylko nieznacznie kręcił przecząco głową.

Aż wreszcie, w pewnej chwili, między jedenastą a północą, drzwi rozwarły się z hukiem. Do środka weszło trzech rostrych mężczyzn, którzy przepchnęli się przez tłum prosto w stronę baru. Oberżysta na ich widok natychmiast zaczął nalewać piwo do trzech wielkich szklanic, choć tamci nie wyrzekli ani słowa. Gdy wypełnił drugą, postawiwszy ją na kontuarze, pociągnął się trzykrotnie za ucho. Dopiero wtedy zabrał się do wypełniania trzeciego naczynia.

I bez tego sygnału Will zrozumiałby, że pojawił się w końcu człowiek, na którego czekał. Nawet z drugiej strony sali wyraźnie widział czarną plamę spalonej skóry na jego twarzy, ciągnącą się od lewego oka aż po szczękę.

Odczekał, aż O'Malley i dwaj jego towarzysze zanoszą piwo do stołu przy palenisku. Siedzieli już tam jacyś dwaj, którzy spoglądali z niepokojem na zbliżającego się przemytnika.

– Dajże spokój, O'Malley – odezwał się jeden z nich jęśliwym tonem. – Siedzimy tu już od...

– Precz.

O'Malley nie zamierzał wdawać się w dyskusję. Dwaj mężczyźni, nie zgłaszając już więcej sprzeciwu, zabrali swoje trunki, wstali i pozostawili stół do wyłącznego użytku trzech szmuglerów. Ci rozsiedli się wygodnie, spoglądając po sali. Powitali okrzykami kilku znajomych. Will zauważył, że odpowiedzi były raczej ugrzecznione niż serdeczne czy przyjazne. Wyraźnie bano się tu O'Malleya. Spojrzenie przemytnika spoczęło przez chwilę na siedzącej w kącie samotnej postaci okrytej płaszczem. Patrzył na obcego przez kilka chwil, po czym przysunął krzesło, oparł łokcie o stół i wraz ze swymi kompanionami zaczął przyciszonym głosem omawiać jakieś sprawy.

Will wstał ze swego miejsca i ruszył ku nim. Przechodząc obok kontuaru, przesunął nad nim dłoń, pozostawiając na deskach połówkę złotej monety. Oberżysta zgarnął ją pospiesznie. Nie odezwał się ani słowem, lecz Will nie oczekiwał podziękowań. Z pewnością oberżysta nie pragnął, by ktokolwiek wiedział, że to on wskazał O'Malleya przybyszowi.

O'Malley zdał sobie sprawę z obecności Willa, gdy zwiadowca stanął obok niego. Przemytnik mówił coś przyciszonym głosem do swych towarzyszy. Przerwał teraz i spojrzał z

ukosa. Will znajdował się w odległości około metra. Przez dłuższą chwilę panowała kłopotliwa cisza – jeśli nie brać pod uwagę panującego wokół zgiełku.

– Kapitan O'Malley? – odezwał się wreszcie Will.

Podczas gdy tamten przyglądał się jego szczupłej, niepozornej sylwetce, młody zwiadowca miał okazję, stwierdzić, że ma przed sobą mężczyznę potężnej budowy, choć niezbyt pokaźnego wzrostu. O'Malley przerastał go może o kilka centymetrów, jak zresztą większość ludzi – a więc nie zaliczał się do wielkoludów.

Miał za to potężnie umięśnione ramiona i zrogowaciałą skórę na dłoniach: piętno wielu długich lat ciężkiej pracy. Wyciągania lin, wnoszenia towaru na pokład, dzierżenia steru podczas szalejącej burzy. Tymczasem brzuch sugerował nie mniej lat ostrego picia. Jednak otyłość w niczym nie umniejszała siły żeglarza i stanowczo należało mieć się przed nim na baczności. Czarne, kręcone włosy opadały niechlujnymi kosmykami na kołnierz. Być może O'Malley zapuścił brodę, usiłując bezskutecznie zamaskować szpecące znamię na lewym policzku. Jego nos musiał być złamany tak wiele razy, że właściwie nie zachował żadnego określonego kształtu. Will pomyślał, że O'Malleyowi zapewne z trudem przychodzi oddychać przez nozdrza.

Jego towarzysze przedstawiali sobą mniej interesujący widok. Brzuchaci, barczyści i potężnie umięśnieni. Roślejsi od kapitana, lecz nie ulegało wątpliwości, który z tych trzech pełni rolę przywódcy.

– Kapitan O'Malley? – powtórzył Will i uśmiechnął się uprzejmie.

O'Malley w odpowiedzi zmarszczył czoło.

– Nie sądzę – uciał i odwrócił się do swych towarzyszy.

– A ja owszem – odrzekł Will, wciąż z uśmiechem.

O'Malley odwrócił się dopiero po dłuższej chwili, po czym wlepił w niego spojrzenie głęboko osadzonych oczu. Widniał w nich niebezpieczny błysk.

– Synku... – rzekł, powoli cedząc słowa, wzdurliwym, wręcz obelżywym tonem. – Idź się bawić gdzie indziej.

Wokół zapanowała cisza. Klienci tawerny Pod Czaplą z zaciekawieniem przyglądali się niecodziennej konfrontacji. Nieznajomy młodzian uzbrojony był w potężny łuk, jak spostrzegli wszyscy – jednak w panującej tu ciasnocie nie była to szczególnie użyteczna broń.

– Potrzebuję informacji – rzekł Will – i gotów jestem za nią zapłacić.

Dotknął zawieszzonego u pasa mieszka, w którym zabrzęczały monety. O'Malley zmrużył oczy. Uznał, że może warto zamienić z młodzikiem kilka słów.

– Informacji? Cóż, w takim razie możemy porozmawiać. Carew! – rzucił w stronę mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stole. – Oddaj chłopakowi swój stołek.

Co znamienne, marynarz, do którego się zwrócił w ten sposób, nie sprzeciwił się ani słowem. Natychmiast wstał i podsunął Willowi siedzisko. Zerknął co prawda spode łba, ale tylko na młodego zwiadowcę. Widać było, że pod żadnym pozorem nie zamierza zadzierać z O'Malleyem.

Will podziękował skinieniem głowy, otrzymał w zamian kolejne wrogie spojrzenie. Przysunął stołek do stołu O'Malleya.

– Chodzi ci, powiadasz, o informację? – zaczął przemysłnik.

– A czego chciałbyś się dowiedzieć?

– Kilka dni temu przeprowadziłeś człowieka imieniem Tennyson – stwierdził Will. – Jego i dwudziestkę ludzi, którzy mu towarzyszyli.

– Czyżby? – krzaczaste brwi O'Malleya zbliżyły się ku sobie w gniewnym grymasie.

– Wydaje mi się, że już wiesz zbyt wiele. Kto ci to wypaplał?

– Nikt z tu obecnych – odparł Will. Nim O'Malley zdołał zadać mu kolejne pytanie, dodał: – Muszę wiedzieć, dokąd go zawiozłeś.

Brwi szmuglera uniosły się w udawanym zdumieniu.

– Ach, musisz wiedzieć, doprawdy? Tylko czy ja muszę cię o tym powiadomić? Zakładając, oczywiście, że znam tego człowieka i dokądś go zawiozłem – a nie znam. I nie zawiozłem.

Przez ułamek sekundy na twarzy Willa odmalowała się irytacja. Błąd. Natychmiast zapanował nad sobą, ale wiedział, że O'Malley zauważył grymas.

– Jak mówiłem, jestem gotów zapłacić za informacje – przypomniał, starając się nie podnosić głosu.

– Taką samą złotą monetą, jaką dałeś Ryanowi, przechodząc obok baru? – rzucił gniewne spojrzenie oberżycie, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się ich rozmowie, a teraz aż się skulił. – Jeszcze o tym pogadamy, Ryan – dodał.

Zaskoczony Will zacisnął usta. Dałby głowę, że kiedy zostawiał szczyrowatemu drugą połówkę dukata, uwaga O'Malleya skierowana była w zupełnie inną stronę.

– Mało co uchodzi twojej uwadze, prawda? – pozwolił sobie na małe pochlebstwo. To nigdy nie zaszkodzi. Jednak O'Malley nie dał się wziąć na tak prostą sztuczkę.

– Mojej uwadze nic nie uchodzi, chłopcze – znów zwrócił na Willa gniewne spojrzenie. *Nie próbuj mnie brać pod włos* – mówiły jego czarne oczy.

Will poprawił się na stołku. Odnosił wrażenie, że zaczyna tracić panowanie nad rozmową. Nie, gorzej. Nie kontrolował jej od samego początku, ani przez chwilę. Od pierwszego słowa kierował nią O'Malley. Jak dotąd Will wciąż pozostawał w defensywie. Podjął kolejną próbę:

– No, dobrze. Tak. Gotów jestem zapłacić złotem za informacje.

– Już mi zapłacono – odparł O'Malley.

Przynajmniej przestał udawać, że nie użyczył swego statku Tennysonowi oraz jego zwolennikom.

– W takim razie druga zapłata za tę samą rzecz to chyba dobry interes? – zauważył Will.

– Tak ci się wydaje? Posłuchaj, chłoptasiu. Powiem ci coś o moich interesach. Po pierwsze, wolałbym poderżnąć ci gardło i odebrać sakiewkę. Powiem więcej: wcale nie dlatego, że ów Tennyson, o którym mówiłeś, coś dla mnie znaczy. Gdybym miał okazję, wyrzuciłbym go za burtę i co by mi kto zrobił? Tylko że ci jego kolesie w czerwonych płaszczach nie spuszczały ze mnie oka. Mówię ci to wszystko, żebyś zrozumiał, że tu nie chodzi o żadną lojalność wobec niego. Ani trochę.

– W takim razie... – zaczął Will, ale szmugler uciszył go gwałtownym ruchem ręki.

– Sam zacząłeś mówić o interesach, to teraz mnie słuchaj, chłopcze. Od tamtego człowieka wzięłem pieniądze, żeby wywieźć go z Clonmelu. Owszem, takimi właśnie sprawami się zajmuję. A teraz pomyśl. Co się stanie, jeżeli przy wszystkich tu obecnych wezmę pieniądze od kogoś innego za to, że wyjawię, dokąd go przepравиłem? Jak myślisz, czy długo utrzymam się w tym fachu? Tacy jak on zgłaszają się do mnie z jednego powodu: dlatego, że umiem trzymać gębę na kłódkę.

Zamilkł. Will nie odzywał się. Nie potrafił wymyślić rozsądnej odpowiedzi.

– Nie wierzę w uczciwość – podjął O'Malley. – Ani w zaufanie czy w lojalność. Wierzę w zysk, w nic więcej. A zysk bierze się stąd, że kiedy trzeba, potrafię milczeć jak grób – niespodziewanie rozejrzał się po tawernie. Ciekawskie spojrzenia odwróciły się co prędzej. – I dobrze radzę, żeby wszyscy inni, co mnie słyszą, też to sobie zapamiętali – rzekł, podniósłszy głos.

Will, któremu zabrakło argumentów, rozłożył bezradnie ręce. Nie potrafił znaleźć żadnego wyjścia z powstałej sytuacji. Nagle zapragnął, by Halt znajdował się teraz u jego boku. Halt z pewnością wiedziałby, jak się zachować. Kiedy o tym pomyślał, znów poczuł się bezradnym, niedoświadczonym młokosem.

– Cóż. W takim razie nic tu po mnie – stwierdził, zbierając się do odejścia.

- Chwilę! – O'Malley trzasnął dłonią w stół. – Nie zapłaciłeś mi.
- Will zaśmiał się z niedowierzaniem.
- Nie zapłaciłem? Przecież nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Owszem, odpowiedziałem. Tyle, że otrzymałeś nie taką odpowiedź, jakiej chciałeś.

A teraz zapłać.

Will zerknął wokół siebie. Wszyscy obecni przyglądali się im z dużym zainteresowaniem, w większości także z rozbawieniem. Zapewne O'Malleya lękano się i nie darzono go sympatią, jednak Will był tu obcy, toteż cieszyli się z jego sromotnej klęski. Zdał sobie sprawę, że przemytnik specjalnie rozegrał całą rozmowę tak, by podbudować swoją reputację. Chodziło mu nie tyle o pieniądze, co o możliwość, by pokazać wszystkim zgromadzonym w tawernie, jak twarzą z niego sztuka i kto tu rządzi.

Usilnie starając się nie okazać gniewu, sięgnął do mieszka i wyjął jeszcze jednego złotego dukata. To staje się kosztowne – pomyślał – a w dodatku nie dowiedział się niczego godnego uwagi. Położył monetę na stole. O'Malley zgarnął ją, sprawdził zębami, następnie uśmiechnął się z przekąsem.

- Interesy z tobą to przyjemność, chłopcze. A teraz wynocha.

Will zdawał sobie sprawę, że jego twarz spurpurowiała od tłumionej wściekłości. Zerwał się na równe nogi, przewracając stół. Z jakiegoś odległego kąta sali rozległ się stłumiony śmiech. Odwrócił się i przepchnął przez tłum do drzwi.

Gdy tylko trzasnęły za nim, O'Malley nachylił się ku swym kompanom i polecił półgłosem:

- Dennis, Nialls. Przynieście mi tę sakiewkę.

Dwóch rosyłych opryszków wstało. Obaj skierowali się śladami Willa w stronę drzwi. Nietrudno było zgadnąć, z jaką misją posłał ich szef, toteż stłoczeni goście rozstąpili się, by uczynić im przejście. Ten i ów skrzywił się z niezadowoleniem, bowiem wpadł na dokładnie ten sam pomysł.